
ALBATROS
ELIZABETH
JANE
HOWARD
LATA
ZMIAN

Tytuł oryginału:
THE CAZALET CHRONICLES # 5: ALL CHANGE

Copyright © Elizabeth Jane Howard 2013
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2026
Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frąc 2026
All rights reserved

Redakcja: Anna Walenko

Korekta: Dorota Jakubowska, Sabina Raczyńska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce: Freepik

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



WYDAWNICTWO
ALBATROS

RACHEL

– Już niedługo – szepnęła Duszka.

– Mamo! – wykrzyknęła Rachel.

– Jestem zupełnie spokojna. – Duszka zamknęła oczy. Męczyła ją rozmowa, jak zresztą wszystko inne. Po dłuższej chwili podjęła: – W końcu przekroczyłam czas, jaki wyznaczył nam pan Housman. O dwadzieścia lat! „Najpiękniejsze z drzew". Nigdy nie zgadzałam się z nim w tej kwestii.

Spojrzała na udręczoną twarz córki. Rachel była blada, miała oczy podkrążone z niewyspania i mocno zaciskała usta, żeby się nie rozpłakać. Duszka z trudem uniosła rękę z prześcieradła.

– Rachel, moja droga, nie wolno ci się smucić. To mnie martwi.

Córka ujęła jej drżącą kościstą rękę i zamknęła ją w dłoniach. Nie, nie może martwić matki, to byłoby samolubne. Ręka Duszki, usiana plamami wątrobowymi, była taka wychudła, że złota bransoletka zegarka zwisała luźno, a obrączka ślubna zsunęła się do połowy palca.

– A jaką roślinę byś wybrała? – chciała wiedzieć Rachel.

– Dobre pytanie – przyznała cicho Duszka. – Niech pomyślę.

Rachel wpatrywała się w twarz matki, ożywioną przez luksus wyboru – poważna sprawa…

– Mimozę – odparła nagle Duszka. – Ten niebiański zapach! Nigdy nie potrafiłam jej wyhodować. – Poruszyła ręką i zaczęła

niespokojnie miąć pościel. – Nie ma już nikogo, kto nazywałby mnie Kitty. Nie wyobrażasz sobie… – Nagle zakrztusiła się i próbowała odkaszlnąć.

– Dam ci wody, kochana.

Karafka była jednak pusta. Rachel znalazła w łazience butelkę wody Malvern, ale kiedy wróciła do pokoju, matka już nie żyła.

Duszka leżała w tej samej pozycji, podparta poduszkami, jak zawsze lubiła. Jedna jej ręka spoczywała na piersi, druga ściskała warkocz, który Rachel splatała każdego ranka. Miała otwarte oczy, ale zniknęła już bezpośrednia, ujmująca szczerość, która zawsze z nich biła. Duszka wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w nicość.

Rachel, wstrząśnięta, odruchowo chwyciła uniesioną dłoń i ostrożnie złożyła ją obok drugiej. Jednym palcem delikatnie zamknęła oczy matki i pochyliła się, by pocałować jej chłodne, białe czoło.

A potem stała bez ruchu, bo zalał ją strumień niepowiązanych myśli – jakby nagle pękła tama. Wspomnienia z dzieciństwa. „Nie ma czegoś takiego jak niewinne kłamstwo, Rachel. Kłamstwo jest kłamstwem i nigdy nie wolno ci go mówić". Jak Edward, stojąc w łóżeczku, opluł ją i wykrzyknął: „Nie słucham skarżypyt!". Ale Duszka skarciła go i nigdy więcej tego nie zrobił.

Jej spokój, który rzadko wydawał się zakłócony – tylko raz, gdy uśmiechnięta żegnała Hugh i Edwarda, którzy jechali na wojnę do Francji, jeden w wieku osiemnastu, a drugi siedemnastu lat, a pociąg powoli odjeżdżał ze stacji Victoria. Odwróciła się i wyciągnęła maleńką koronkową chusteczkę, którą zawsze nosiła zatkniętą pod zegarkiem. „To jeszcze chłopcy", powiedziała. Po wewnętrznej stronie jej nadgarstka widniało małe, ale wyraźne truskawkowe znamię. Rachel pamiętała, że zastanawiała się wtedy, czy mama trzyma tam chusteczkę, by je ukryć, i skąd przyszła jej do głowy ta błaha myśl.

Duszka często jednak płakała – ze śmiechu, aż łzy spływały

jej po policzkach. Śmiała się z wygłupów Ruperta, który od najmłodszych lat rozbawiał wszystkich; z jego dzieci, zwłaszcza Neville'a; z ludzi, których uważała za nadętych. I z makabrycznych wiktoriańskich rymowanek: *Mam broń, ty mnie goń, pif-paf, gryziesz piach* albo *Tato, tramwaj rozjechał dzbanek i wylał się sok wiśniowy. Nie dzbanek, synku, tylko czerep. To resztki twej mamy głowy.* Muzyka też doprowadzała ją do łez. Była zaskakująco dobrą pianistką, grała duety z Myrą Hess, uwielbiała Toscaniniego i płyty z jego nagraniami symfonii Beethovena. I zasady prostego życia (grzanki na śniadanie należało smarować albo masłem, albo marmoladą; posiłki składały się z pieczonego mięsa, jedzonego na ciepło, potem na zimno, a na końcu mielonego z gotowanymi warzywami; raz w tygodniu ryba z wody; duszone owoce i pudding, który nazywała foremkowym, albo ryżowy).

Miała swoje prywatne życie, które poza muzyką obejmowało uwielbiane przez nią prace w ogrodzie. Sadziła w specjalnym inspekcie duże wonne fiołki, poza tym hodowała goździki, ciemnoczerwone róże, lawendę, wszystko, co słodko pachniało, a także wszelkiego rodzaju owoce i warzywa: żółte i czerwone maliny, pomidory, nektarynki, brzoskwinie, winogrona, melony, truskawki, ogromny czerwony agrest deserowy, porzeczki na dżem, figi, renklody i inne śliwki. Wnuki przepadały za Home Place, gdzie dostawały desery pełne owoców z sadu babci.

Związek Duszki z mężem, Brygiem, zawsze był owiany wiktoriańską tajemnicą. Kiedy Rachel była dzieckiem, postrzegała rodziców po prostu jako matkę i ojca. Ale mieszkając z nimi przez całe życie i kochając ich bezwarunkowo, zaczęła widzieć dwie zupełnie różne osoby. W istocie bardzo się różnili. Bryg był towarzyski do granic ekscentryczności – zapraszał na kolacje, a czasem na weekendy każdego, kogo spotkał w swoim klubie lub w pociągu. Robił to bez uprzedzenia, po czym prezentował gości niczym rybak okazałego łososia albo myśliwy jelenia czy dziką gęś. Duszka, po udzieleniu mu najłagodniejszej reprymendy, spokojnie podejmowała ich baraniną i puddingiem.

Nie była samotniczką, ale w pełni wystarczała jej

powiększająca się rodzina: dzieci i wnuki – i z radością powitała synowe. Jednak swój własny świat trzymała w ścisłej tajemnicy; żarty z młodości (na przykład słanie łóżka w taki sposób, żeby uniemożliwić kładącemu się rozprostowanie nóg) czy brawurowe zabawy w chowanego w jakimś odległym szkockim zamku przywoływała tylko na chwilę, by uspokoić któreś dziecko, gdy spadło z drzewa czy z kucyka. Jej ojciec, dziadek Barlow, był wybitnym naukowcem, członkiem Królewskiego Towarzystwa. Jako jedyna z czterech sióstr była pięknością, choć sprawiała wrażenie, jakby tego nie zauważała. Lustro, jak pouczała córkę, służy do dbania o to, by włosy wyglądały schludnie, a broszka była prosto przypięta.

Na starość, gdy prace w ogrodzie stały się dla niej za trudne, regularnie chodziła do kina, głównie żeby oglądać Gregory'ego Pecka, w którym była wręcz zakochana…

Za mało ją pytałam, pomyślała Rachel. Prawie nic o niej nie wiem. Uznała to za przerażające, zważywszy na pięćdziesiąt sześć wspólnie spędzonych lat. Wszystkie te poranki, kiedy ona szykowała grzanki, a matka gotowała wodę na kuchence spirytusowej, żeby zaparzyć herbatę; wszystkie te letnie popołudnia na świeżym powietrzu albo w przytulnym pokoju dziennym, gdy na dworze było zbyt zimno; te wakacje z wnukami, które musiały zjeść kromkę chleba z masłem, zanim pozwolono im na dżem lub ciasto…

Tyle że każda zwykle zajmowała się czym innym. Duszka szyła zasłony do Home Place i piękne suknie dla Rachel z niebieskiego lub wiśniowego jedwabiu tussowego, potem sukienki dla wnuczek – Louise i Polly, Clary i Juliet – a nawet dla chłopców, Teddy'ego i Neville'a, Willsa i Rolanda; dopiero kiedy kończyli trzy, cztery lata, buntowali się przeciwko noszeniu dziewczęcych strojów. Rachel w tym czasie zmagała się z robótkami na drutach dla początkujących, dziergając szaliki i rękawiczki. Tak było podczas niekończących się lat wojny – tych strasznych miesięcy, kiedy wyczekiwano listów, a obawiano się telegramów…

Rachel spędziła trzy lata w szkole z internatem, gdzie strasznie tęskniła za domem. W każde wakacje błagała, żeby nie kazano jej tam wracać. Skarżyła się, że opiekunka daje jej karę, gdy zobaczy choć jeden włos na jej szczotce, a Duszka odpowiadała: „Więc nie zostawiaj ani jednego włosa, moja kaczuszko". Potem Rachel już nigdy nie opuściła rodzinnego domu.

Dorosła niezamężna córka, opiekowała się innymi, nigdy nie myśląc o sobie. Rozumiała, że mężczyźni są ważniejsi od kobiet, troszczyła się o rodziców, organizowała posiłki i dyrygowała służbą, która – niezależnie od płci – kochała ją za troskę i zainteresowanie ich życiem.

Ale teraz, po utracie obojga rodziców, Rachel miała wrażenie, że dzieło jej życia dobiegło końca. Może spędzać tyle czasu z Sid, ile tylko obie zapragną. Ogarnęło ją zatrważające poczucie wolności. Słowa, które usłyszała od młodej uczennicy jednej z liberalnych szkół – „Czy ciągle musimy robić to, co chcemy?" – teraz odnosiły się do niej.

Stała przy łożu śmierci matki, gdy wszystkie te chaotyczne myśli przelatywały jej przez głowę. Zdała sobie sprawę, że płacze, że niemiłosiernie bolą ją plecy, że ma wiele rzeczy do zrobienia. Musi zadzwonić do lekarza, skontaktować się z Hugh – on na pewno powiadomi pozostałych, Edwarda, Ruperta i Villy – i oczywiście z Sid. Musi powiadomić służbę. Od wojny służba składała się z państwa Tonbridge'ów, starego ogrodnika, który z powodu artretyzmu nie robił niczego poza koszeniem trawników, dziewczyny przychodzącej sprzątać trzy razy w tygodniu i Eileen, która już wróciła po chorobie swojej matki.

Rachel znów popatrzyła na Duszkę: wyglądała spokojnie i zaskakująco młodo. Wyjęła z dzbanka białą różę i włożyła ją w ręce matki. Małe znamię na nadgarstku było wyraźniejsze; zegarek zsunął się na dłoń. Rachel zdjęła go i położyła na stoliku obok łóżka.

Kiedy otworzyła duże okno, powietrze wpłynęło do sypialni, niosąc zapach róż, i lekki podmuch poruszył muślinowymi zasłonami. Rachel otarła twarz, wydmuchała nos i powiedziała

na głos:

– Żegnaj, kochana mamo.

Wyszła z pokoju i zajęła się pilnymi sprawami.

RODZINA

– Jeden z nas powinien tam jechać – powiedział Hugh. – Nie możemy zostawić biednej Rachel samej.

– Oczywiście, że nie – przyznał Edward.

Już miał wyjaśnić, że on nie może, ot tak, odwołać lunchu z ludźmi, którzy zarządzają upaństwowionymi kolejami, gdy zauważył, że Hugh zaczyna pocierać czoło w sposób zapowiadający jeden z jego piekielnych bólów głowy.

– A Rupe? – zapytał.

Rupert, ich czarujący najmłodszy brat i oficjalnie dyrektor firmy, był oczywistym, ale też wątpliwym kandydatem. Brakowało mu umiejętności podejmowania decyzji i zawsze wykazywał się głębokim rozumieniem punktu widzenia każdego, z kim rozmawiał, klienta czy pracownika. Edward oznajmił, że zaraz z nim pogada.

– Tak czy inaczej, trzeba z nim porozmawiać. Nie martw się, staruszku. Możemy wszyscy pojechać tam w weekend.

– Rachel twierdzi, że mama odeszła zupełnie spokojnie. – Edward mówił to już wcześniej, lecz powtarzanie tego najwyraźniej niosło mu pociechę. – W sumie to koniec pewnej epoki. Stawia nas na pierwszej linii frontu, prawda?

Te słowa przywiodły im obu na myśl pierwszą wojnę, ale żaden tego nie powiedział.

Kiedy Edward wyszedł, Hugh sięgnął po tabletki i wysłał

pannę Corley po kanapkę na lunch. Pewnie zje nie więcej niż kęs, ale przynajmniej sekretarka przestanie wokół niego skakać.

Płakał, leżąc w ciemnych okularach na skórzanej kanapie. Spokój Duszki, jej szczerość, to, jak przyjęła do rodziny Jemimę i jej dwóch synów… Jemima. Jeśli on jest na pierwszej linii frontu, to z Jemimą u boku – niewiarygodny łut szczęścia, codzienna radość. Po śmierci Sybil myślał, że będzie kochać już tylko Polly, która najprawdopodobniej wyjdzie za mąż (i wyszła), będzie miała własne dzieci (i miała), a on do końca życia nie będzie dla nikogo najważniejszy. Ale ze mnie szczęściarz, pomyślał i zdjął okulary, żeby przetrzeć szkła.

* * *

– Kochanie, oczywiście, że przyjadę – powiedziała Sid. – Jeśli się pośpieszę, zdążę na pociąg o szesnastej dwadzieścia. Jak myślisz, czy Tonbridge mógłby mnie odebrać? Nie martw się o mnie, Rachel. Nic mi nie jest, to tylko lekki bronchit… i wstałam już wczoraj. Mam ci coś przywieźć? Dobrze. Do zobaczenia parę minut po szóstej. Pa, najdroższa.

Sid rozłączyła się, nie dając Rachel szansy na wyperswadowanie jej pomysłu przyjazdu.

Gdy chwiejnie szła na górę, uderzył ją ogrom zmian, jakie ją teraz czekały. Nadal była słaba, choć cudowna penicylina prawie zwalczyła chorobę. Sid postanowiła darować sobie lunch i spakować kilka rzeczy do walizki, tak żeby nie zrobiła się zbyt ciężka. Rachel cierpi po śmierci matki, ale teraz ona się nią zaopiekuje. Wreszcie będą mogły naprawdę zamieszkać razem.

Sid kochała i podziwiała Duszkę, ale Rachel czuła się potrzebna matce, co od dawna i często skracało ich wspólnie spędzany czas. Sytuacja pogorszyła się po śmierci Bryga, mimo że trzech synów z żonami nie zaniedbywało Duszki. Ostatnia choroba matki wystawiła na próbę siły Rachel, która nie odstępowała jej od Wielkanocy. Cóż, nastąpił koniec i wreszcie, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, Rachel zacznie żyć własnym życiem. Sid rozumiała, że będzie to dla niej – przynajmniej z początku

– przerażające, jak dla ptaka wypuszczenie z dobrze znanej klatki na swobodę. Będzie potrzebować wsparcia i opieki.

Zjawiła się na dworcu tak wcześnie, że miała jeszcze czas zjeść kanapkę. Cierpliwie odstała w kolejce i kupiła dwie kromki szarego gąbczastego chleba, posmarowane jasnożółtą margaryną, z cieniutkim plasterkiem cheddara o smaku mydła. Nie było wolnych miejsc siedzących, więc przycupnęła na swojej rozpadającej się walizce. Po chwili z zatłoczonej ławki wstał bardzo stary mężczyzna, zostawiając egzemplarz „Evening Standard" – z nagłówkiem na pierwszej stronie: *Burgess i Maclean na długich zagranicznych wakacjach*.

Przebiła się przez falę wysiadających ludzi i z ulgą weszła do pociągu. Wagon był brudny, tapicerka siedzeń wytarta i zakurzona, podłoga usiana niedopałkami papierosów. Sid mało co widziała przez pokryte sadzą szyby. Ale kiedy konduktor zagwizdał i pociąg ruszył z szarpnięciem, a potem przetoczył się przez most, poczuła się mniej zmęczona.

Ileż razy odbywała tę podróż, żeby być z Rachel… Wszystkie te weekendy, kiedy wspólny spacer był szczytem marzeń, a dyskrecja i tajemnica rządziły wszystkim, co robiły. Nie mogły swobodnie rozmawiać, nawet gdy Rachel wyjeżdżała po nią na pociąg, bo Tonbridge siedział za kierownicą i słyszał każde ich słowo. W tamtych czasach samo przebywanie z Rachel było tak cudowne, że przez długi czas Sid niczego więcej nie potrzebowała.

A potem zapragnęła czegoś więcej – chciała mieć Rachel w łóżku – i zaczął się nowy rodzaj tajemnicy. Musiała ukrywać pożądanie nie tylko przed innymi, ale też przed ukochaną, dla której było czymś przerażającym i niezrozumiałym. Kiedy się rozchorowała, Rachel natychmiast przyjechała, żeby ją pielęgnować. A potem… Wspomnienie, jak Rachel się jej oddaje, wciąż wyciskało łzy z oczu Sid.

Być może jej największym osiągnięciem było to, że sprawiła, że Rachel zaczęła cieszyć się miłością fizyczną. I nawet wtedy musiały walczyć z jej poczuciem winy, z jej przekonaniem, że nie

zasługuje na tyle przyjemności, że nie może sobie pozwolić na to, by przyjemność stanęła przed obowiązkami.

Przez resztę podróży Sid snuła zachwycające plany na przyszłość.

* * *

– Och, Rupe, przepraszam – powiedziała Zoë. – Mogę przyjechać jutro. Nie poślę dzieci do szkoły. Ale lepiej zadzwoń i spytaj, czy Rachel by tego chciała. Mam powiadomić Villy?… Dobrze. Do zobaczenia jutro, kochanie, mam nadzieję.

Odkąd Rupert dołączył do firmy, powodziło im się o wiele lepiej. Kupili dom nad rzeką w Mortlake. Nie kosztował zbyt wiele – sześć tysięcy funtów – ale był w opłakanym stanie. Gdy rzeka wzbierała, woda często zalewała parter, pomimo muru w ogródku od frontu i progu do wsiadania na konie w miejscu, gdzie kiedyś stała brama. Ale Rupertowi to nie przeszkadzało. Był zakochany w pięknych przesuwnych oknach skrzydłowych, okazałych drzwiach i nadzwyczajnym salonie, który zajmował całą szerokość domu na piętrze, z ładnym kominkiem przy obu krótszych ścianach i ozdobnymi fryzami pod sufitem. Uwielbiał przechodnie sypialnie na najwyższym piętrze, gdzie była tylko jedna, zmodernizowana w latach czterdziestych, mała łazienka wyposażona w łososiową wannę i lśniące czarne kafelki.

– Uwielbiam go – powiedział Rupert. – To dom dla nas, kochanie. Naturalnie będziemy musieli trochę nad nim popracować. Mówili, że bojler nie działa. Ale to tylko szczegół. Podoba ci się, prawda?

I oczywiście Zoë odparła, że tak.

Wprowadzili się w 1953 roku, w roku koronacji, i dopracowali niektóre „szczegóły": powiększyli kuchnię, kupili nowy bojler, nową kuchenkę i zlew. Nie było ich jednak stać na centralne ogrzewanie, więc w domu zawsze panował chłód, a zimą było wręcz mroźno. Rupert powiedział dzieciom, że będą mogły oglądać regaty na Tamizie, ale na Juliet nie zrobiło to wrażenia.

– Jedni muszą wygrać, prawda? To przesądzone – rzuciła.

A Georgie zauważył, że będzie ciekawie tylko wtedy, gdy ktoś wpadnie do wody.

Miał siedem lat i od trzeciego roku życia fascynowały go zwierzęta. Udało mu się urządzić coś, co nazywał swoim zoo. Składało się z białego szczura Riversa, dwóch żółwi, które ciągle gubiły się w ogrodzie, jedwabników, gdy tylko pozwalała na to pora roku, węża pończosznika – również mistrza ucieczek – parki świnek morskich i papużki falistej. Marzył o psie, króliku i papudze, ale jak dotąd kieszonkowe nie pozwalało mu na takie wydatki. Pisał książkę o swoim zoo i raz wpadł w poważne tarapaty, gdy zabrał do szkoły ukrytego w tornistrze Riversa. Od tej pory Zoë pilnowała, żeby przed pójściem do szkoły zamykał szczura w klatce. Wiedziała, że Georgie zabierze go do Home Place, ale jak zauważył Rupert, Rivers jest bardzo taktownym szczurem i ludzie często nawet nie wiedzą o jego obecności.

Przygotowując podwieczorek – kanapki z sardynkami i owsiane herbatniki, które upiekła rano – Zoë zastanawiała się nad losem Home Place. Rachel bez wątpienia nie zechce mieszkać tam sama, ale bracia mogą podzielić się własnością. To prawie na pewno by oznaczało, że już zawsze będą tam spędzać wakacje, a ona tak marzyła o wyjazdach za granicę – do Francji albo Włoch. Saint-Tropez! Wenecja! Rzym!

Trzasnęły drzwi frontowe, po czym na kamiennych płytach w holu wylądował z hukiem tornister. Wszedł Georgie. Miał na sobie szkolny letni mundurek: białą koszulę, szare spodenki, tenisówki i białe skarpetki. Wszystko, co powinno być białe, przybrało odcień szarości.

– Gdzie twoja marynarka? – spytała Zoë.

Spojrzał po sobie zaskoczony.

– Nie wiem. Gdzieś. Graliśmy. Wtedy nie musimy nosić marynarek. – Jego brudna buzia była mokra od potu. Odwzajemnił całusa mamy zdawkowym uściskiem. – Dałaś Riversowi marchewkę?

– Ojej, zapomniałam.

– Och, mamo!

– Skarbie, nic mu nie będzie. Dostaje mnóstwo jedzenia.

– Nie o to chodzi. Marchewka jest po to, żeby się nie nudził. – Georgie, biegnąc do spiżarni, w pośpiechu przewrócił krzesło. Wrócił chwilę później z Riversem na ramieniu. Nadal patrzył z wyrzutem na matkę, ale szczur był wyraźnie zachwycony, skubiąc jego ucho i gmerając pod kołnierzykiem koszuli. – Zwyczajna marynarka to drobiazg w porównaniu z życiem szczura.

– Marynarki szkolne nie są zwyczajne, a Rivers nie umierał z głodu. Nie bądź głuptasem.

– W porządku. – Georgie uśmiechnął się tak ujmująco, że Zoë jak zwykle poczuła przypływ miłości do syna. – Możemy zjeść podwieczorek? Naprawdę jestem głodny. Na lunch dostaliśmy zatrute mięso i żabi skrzek. Forrester wymiotował, więc nie mogłem jeść.

Usiedli przy stole. Zoë odgarnęła synowi z czoła wilgotne włosy.

– Musimy poczekać na Jules. Tymczasem mam ci coś do powiedzenia. Babcia Duszka umarła dziś rano. Całkiem spokojnie, jak mówiła ciocia Rachel. Tata jedzie dziś do Home Place, a my dołączymy do niego jutro.

– Jak umarła?

– Wiesz, była bardzo stara. Miała prawie dziewięćdziesiąt lat.

– Dla żółwia to tyle co nic. Biedna babcia. Smutno mi, że już jej nie ma. – Georgie pociągnął nosem i wyjął z kieszeni spodenek niewyobrażalnie brudną chusteczkę. – Musiałem obetrzeć nią kolana, ale to tylko ziemia.

Ponownie trzasnęły drzwi frontowe i po chwili do kuchni weszła Juliet.

– Przepraszam za spóźnienie – rzuciła tonem, który wcale nie wyrażał przeprosin.

Ściągnęła karmazynowy krawat oraz szkolny żakiet i rzuciła na podłogę razem z tornistrem.

– Skarbie, gdzie twój kapelusz?

– W tornistrze. Są pewne granice, a ten kapelusz

zdecydowanie się w nich nie mieści.

– Zgniotłaś go – powiedział Georgie tonem, w którym subtelnie mieszały się nuty podziwu i bezczelności. Piętnastoletnia Juliet była o osiem lat starsza i rozpaczliwie pragnął, by siostra go kochała i okazywała mu zainteresowanie. Przez większość czasu traktowała go na przemian miło i surowo. – Zgadnij, co się stało.

Dziewczyna opadła na krzesło.

– Boże! Co?

– Babcia nie żyje. Umarła dziś rano. Mama mi powiedziała, więc wiedziałem przed tobą.

– Duszka? Tragiczne! Mam nadzieję, że nie została zamordowana.

– Pewnie, że nie. Umarła bardzo spokojnie z ciocią Rachel.

– Ona też nie żyje?

– Nie. Chodziło mi o to, że ciocia Rachel była przy niej. Raczej nie masz szans, żeby znać jakąś zamordowaną osobę – dodał Georgie.

Pochłaniał kanapki, podsuwając kawałki Riversowi.

– Mamo, musimy jeść podwieczorek z tym szczurem? – Czując, że w obecnej sytuacji to dość bezduszna uwaga, Juliet tonem znanym ze szkolnych przedstawień oznajmiła: – Jestem taka roztrzęsiona, że chyba nic nie przełknę.

Zoë, która znała na wylot zagrania swojej oszałamiająco pięknej córki (bo czy sama ich nie stosowała, gdy była w jej wieku?), odezwała się uspokajająco:

– Oczywiście, że jesteś wstrząśnięta, skarbie. Wszystkim nam jest smutno. Kochaliśmy Duszkę, ale miała swoje lata i dobrze, że nie cierpiała. Zjedz coś, a od razu poczujesz się lepiej.

– I tata pojechał do Home Place – podjął Georgie. – A my pojedziemy tam jutro z samego rana, jeśli ciocia Rachel będzie chciała. A będzie.

– Och, mamusiu! Miałaś mnie zabrać na zakupy, po dżinsy! Obiecałaś! – Na myśl o tej zdradzie Juliet zalała się szczerymi łzami. – Nie możemy ich kupić w powszedni dzień z powodu

tej okropnej szkoły, a to oznacza, że będę musiała czekać cały kolejny tydzień. A wszystkie moje koleżanki już mają dżinsy. To niesprawiedliwe! Nie możemy pójść na zakupy rano i jechać popołudniowym pociągiem?

Zoë, pragnąc zakończyć tę wiecznie powtarzającą się scenę, powiedziała słabo:

– Poczekamy, zobaczymy.

– Wszyscy wiemy, co to oznacza – mruknął Georgie. – To znaczy, że nie zrobimy tego, czego chcesz, ale nie powiemy ci o tym od razu.

POLLY

– Miało się zacząć w drugim trymestrze – jęknęła Polly.

Klęczała przy sedesie i wymiotowała, jak każdego ranka przez ostatni tydzień. Toaleta była staroświecka i Polly musiała dwa razy pociągnąć za łańcuszek. Ochlapała twarz zimną wodą i umyła ręce w letniej, która niechętnie płynęła rurami. Nie miała czasu na kąpiel. Musi przygotować śniadanie – od razu poczuła mdlący zapach smażonych jajek. Tym razem dzieci zadowolą się gotowanymi.

Przy łóżku stało wyłożone perkalem blaszane pudełko po ciasteczkach, pamiątka po teściowej, teraz pełne herbatników Carr's. Polly usiadła na łóżku i zaczęła pogryzać ciastka. Dwie poprzednie ciąże sporo ją nauczyły. Mdłości przejdą za osiem, dziesięć tygodni, a wtedy zacznie się okres tycia i bólu pleców.

– Nie chodzi o to, że ich nie kocham, kiedy już są – powiedziała do męża. – Najgorsze jest ich noszenie. Gdybym była na przykład kosem, wysiadywałabym piękne, eleganckie jajeczka może przez dwa tygodnie.

– Pomyśl o słonicach – odparł kojąco Gerald, gładząc ją po włosach. – Zajmuje im to dwa lata.

A kiedy indziej usłyszała:

– Chciałbym je nosić za ciebie.

Często powtarzał, że chciałby robić za nią wszystko, ale mu to nie wychodziło. Nie był dobry ani w podejmowaniu decyzji, ani w działaniu. Jedynym, na czym Polly mogła całkowicie, abso-

lutnie, niezawodnie polegać, była jego miłość do niej i dzieci. Z początku ją to zdumiewało. Z tego, co czytała w powieściach, sądziła, że każde małżeństwo przechodzi od etapu ekstatycznego zakochania do cichego porozumienia i czegoś, co staje się status quo. U nich było inaczej.

Miłość do niej ujawniła w Geraldzie cechy, jakich nie znała ani nie wyobrażała sobie u żadnego mężczyzny: łagodność, przenikliwość, bezustanne zainteresowanie jej myślami i uczuciami… Do tego dochodziło subtelne poczucie humoru – był powściągliwy wobec większości ludzi, a żarty rezerwował dla niej i potrafił być bardzo zabawny. Ale być może jego największym talentem było bycie ojcem. Nie odstępował jej przez cały pierwszy długi poród, płakał, gdy urodziły się bliźniaczki, i był aktywnym rodzicem, zarówno dla nich, jak i dwa lata później dla Andrew.

– Musimy jakoś zaludnić ten dom – mówił.

Polly wiedziała, że ucieszy go czwarte dziecko; prawdopodobnie już się domyślił i tylko czekał, kiedy żona mu powie.

Włożyła koszulę, bezrękawnik oraz sandały i związała miedziane włosy w kucyk. Mdłości minęły, ale robiło jej się słabo na myśl o gotowaniu.

Dzięki zdumiewającej kolekcji Turnerów, którą odkryli jakieś dziesięć lat temu, gdy Polly pierwszy raz była w tym domu, udało im się naprawić całe połacie dachu, a następnie przekształcić jedno skrzydło w wygodne mieszkanie z dużą kuchnią, drugą łazienką i pokojem zabaw.

Zaproponowali Nan ciepły pokój na parterze, ona jednak uparła się, by spać obok dzieci.

– O nie, lady Polly – zaprotestowała. – Nie mogę pozwolić, żeby moje maluchy spały na innym piętrze. To nie byłoby w porządku.

Nikt nie wiedział, ile dawna niania Geralda ma lat, ale była w podeszłym wieku. Najwyraźniej cierpiała na coś, co nazywała reumatyzmem, lecz kuśtykała dziarsko, a wzrok i słuch jej dopisywały. Z czasem musiała zmienić swoje podejście do roli

rodziców w wychowaniu dzieci – kiedyś sprowadzającej się do podwieczorku z mamą, w odświętnych ubrankach, a potem całusa na dobranoc od mamy i taty. Gerald tego dokonał. Według Nan nie mógł zrobić nic złego, jeśli więc chciał wykąpać dzieci, poczytać im, a nawet, na wczesnym etapie, zmieniać pieluchy, składała to na karb jego ekscentryzmu, typowego dla osób z wyższych sfer.

– Ludzie mają swoje małe dziwactwa – powtarzała Nan, gdy działo się coś, czego nie pochwalała lub nie rozumiała.

Pomimo zmian, które wprowadzili, pozostałe części ogromnego edwardiańskiego domu wciąż przygnębiały Polly. Wymagały wiele uwagi. Pokoje trzeba było regularnie wietrzyć, walcząc z wdzierającą się do wnętrz wilgocią. Wilgoć niszczyła tapety, na poddaszu i w korytarzach wykwitały czarne plamki grzyba, przypominające, jak zauważył Gerald, rozmieszczenie wojsk Napoleona przed bitwą.

Dzieci, a przynajmniej bliźniaczki i ich koleżanki, bawiły się w chowanego i grę zwaną latarkowymi potworami, którą same wymyśliły. Andrew nie cierpiał być pomijany i Eliza kilka razy pozwoliła mu do nich dołączyć, ale zawsze gubił się w zapuszczonej części domostwa i płakał.

– Mówiłam ci, mamusiu, że mu się to nie spodoba – kwitowała Jane.

Dzieci nieustannie się sprzeczały i Gerald zazwyczaj interweniował, proponując rozwiązanie, które przywracało spokój.

Teraz czekał na żonę u stóp schodów, żeby powiedzieć jej o śmierci Duszki. Rupert pojechał już do Home Place i poda im datę pogrzebu, gdy tylko zostanie ustalona.

RACHEL

– Ugotowałam dla niej jajko w koszulce – oznajmiła pani Tonbridge. – Zwykle jej smakuje.

– Nic na to nie poradzę, proszę pani – odparła Eileen. – Postawiłam tacę w pokoju dziennym, a ona tylko podziękowała mi i powiedziała, że niczego nie chce.

Jajko w koszulce leżało na grzance posmarowanej masłem. Eileen patrzyła na nie z nadzieją. Jeśli pani Tonbridge nie zje go z szacunku dla panny Rachel, ona na pewno nie rzuci go ptakom.

– Opuściłam wszystkie rolety na parterze – dodała. – Panna Rachel mówiła, że pan Rupert przyjeżdża dziś wieczorem. Chce się z panią widzieć.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego od razu? Co ona sobie o mnie pomyśli? Że się guzdram, podczas gdy pani starsza leży bez życia na górze? – Pani Tonbridge gniewnie wsunęła spinkę we włosy, zdjęła fartuch, wygładziła suknię na biuście i wyszła.

Panna Rachel poinformowała ją, że lekarz już był, a pielęgniarka przyjdzie jakiś czas później. Dobrze by było, żeby pan Tonbridge pojechał do Battle po zakupy – rodzina zjedzie się na weekend. Aha, i panna Sidney będzie o wpół do piątej na stacji, więc czy mógłby ją odebrać?

– Zdaję się na panią. Coś lekkiego i prostego. – Rachel naprawdę nie mogła myśleć o jedzeniu…

To wywołało w pani Tonbridge sprzeczne uczucia. Z jednej strony ten brak apetytu mógł być wyrazem szacunku dla zmarłej

matki, ale z drugiej poważnie martwiło ją widoczne wyczerpanie panny Rachel i świadomość, że biedaczka mało co jadła od kilku tygodni. To nie było dobre. Pani Tonbridge pracowała u tej rodziny od prawie dwudziestu lat – zaczęła na długo przed ślubem z Tonbridge'em, jako Cripps, z grzeczności tytułowana panią, jak wszystkie kucharki w tamtych czasach – i dobrze wiedziała, jak kto się odżywia. Panna Rachel, podobnie jak jej matka, wolała proste potrawy i skromne porcje, ale od czasu choroby pani starszej ledwie skubała to, co było na talerzu.

– Czy mam pani podesłać filiżankę pysznego gorącego bulionu, zanim położy się pani, by odpocząć przed przyjazdem pana Ruperta?

Rachel, zdając sobie sprawę, że o wiele łatwiej jest się zgodzić, niż odmówić, skinęła głową i podziękowała.

Gdy Eileen przyniosła rosół, Rachel leżała na twardej leżance, którą matka uznała za odpowiednią dla jej pleców. Duszka sama przez całe życie korzystała z niewyścielanych krzeseł z prostymi oparciami i nigdy, w żadnej sytuacji, nie troszczyła się o wygodę. Leżanka była równie niewygodna jak krzesło, ale z poduszką podłożoną pod krzyż Rachel mogła trochę odpocząć.

Eileen, głosem, który Cazaletowie nazywali kościelnym, zapytała, czy ma opuścić rolety i okryć jej nogi szydełkowym kocem. Popijając bulion, Rachel zgadzała się na wszystko. Patrzyła, jak pokojówka klęka z trudem – miała reumatyzm – by rozwiązać sznurowadła jej praktycznych butów, unosi jej nogi i dokładnie otula je kocem. Potem na palcach, jakby nie chciała jej zbudzić, Eileen podeszła do okna, opuściła rolety i wyślizgnęła się z pokoju. To z miłości do Duszki, pomyślała Rachel.

Nie miała nic przeciwko takim gestom, dopóki były dyskretne. Odstawiła filiżankę i położyła się na twardej leżance. Kochana mamo, pomyślała i kilka łez spłynęło z jej oczu, a potem zapadła w miłosierny sen.

CLARY

– Naprawdę nie powinnaś się tak denerwować, kochanie – odezwał się łagodnie Archie. – Przecież to tylko tydzień. Tydzień w przyczepie. To będzie cudowna odmiana… i odpoczynek.

Clary nie odpowiedziała. Jeśli Archie myślał, że tydzień w przyczepie kempingowej z dziećmi będzie dla niej choć trochę relaksujący, to albo zwariował, albo go nie obchodziło, co to dla niej oznacza, bo przestał ją kochać.

– Do tego wyjdzie o wiele taniej. Ostatnio wydaliśmy fortunę, zabierając dzieciaki na wycieczki po całym Londynie i na niezliczone posiłki w restauracjach. I wiesz, że nigdy nie chcą robić tego samego. Za moich czasów dostawało się jeden prezent na urodziny i jeden na Boże Narodzenie.

– Nie sądzisz chyba, że jazda we czwórkę samochodem, przeprawa promem i wynajęcie przyczepy wyjdzie taniej. Po prostu chcesz jechać do Francji.

– Oczywiście, że chcę. – Archie ze złości podniósł głos. Odłożył pędzel, który czyścił, i spojrzał na żonę. Stała pochylona nad zlewem, szorując garnek po owsiance. Włosy osłaniały jej twarz. – Clary! Przepraszam, kochanie.

– Za co? – Jej głos był stłumiony.

Obrócił ją twarzą ku sobie.

– Masz ogromne łzy. I jesteś moim kochaniem, jak powtarzam ci od co najmniej dziesięciu lat. Zaczyna to do ciebie docierać?

Zarzuciła mu ręce na szyję; Archie był od niej o wiele wyższy.

– Nie wolałbyś poślubić Polly?

Udał, że się zastanawia.

– Nie, chyba nie.

Pocałował ją.

– Albo Louise?

– Chyba zapomniałaś, że została zajęta, zanim zdążyłem o tym pomyśleć. Nie, musiałem zadowolić się tobą. Szukałem pisarki, kiepskiej kucharki, niechlujnej geniuszki. I ją dostałem. Tyle że gotujesz już o wiele lepiej. Kochanie, muszę iść. Pewien nadęty Mistrz Czcigodnej Kompanii Sardynek będzie siedział w pracowni i czekał, aż namaluję jego koszmarnie starą facjatę. Nie mogę się wręcz doczekać, kiedy zacznę rozmieniać swój talent na drobne.

– Myślę – zaczęła Clary, patrząc, jak Archie pakuje pędzle – że mógłbyś po prostu namalować dobry portret. Namaluj to, co widzisz.

– Wykluczone. Gdybym to zrobił, nie zechciałby zapłacić. Tysiąc funtów przeszłoby nam koło nosa. Mielibyśmy szczęście, gdyby udało nam się spędzić wakacje w przyczepie gdzieś przy Great West Road.

Rozmawialiśmy o jednym i o drugim setki razy, pomyślał Archie, idąc do autobusu na Edgware Road. Ja dodaję jej otuchy, a ona zawsze mówi, żebym malował tylko to, co chcę. Nie przeszkadzało mu to. Clary zasługiwała na wszystko. Nie od razu zrozumiał, że jej rozpaczliwy brak poczucia bezpieczeństwa – umierająca matka, ojciec zaginiony we Francji przez większość wojny, strach, że nie żyje – mógł się ujawnić dopiero z upływem czasu.

Dziesięć lat małżeństwa i dwójka dzieci przyniosły oczywiście radykalną zmianę. Mieli za sobą względnie beztroskie pierwsze wspólne miesiące, potem lata podróży lub mieszkania w pracowni z łóżkiem na antresoli. Wtedy pieniądze były skromne, ale nie miały znaczenia. On szukał zleceń i malował

pejzaże – które od czasu do czasu pojawiały się na wystawach zbiorowych w Redfern, a raz nawet na Letniej Wystawie w Akademii – a ona pisała drugą powieść, pochwaloną przez Johna Davenporta. To był wspaniały początek. Ale gdy pojawiła się Harriet, a tuż po niej Bertie – „Może jestem królicą!", szlochała Clary nad zlewem – musieli znaleźć większe lokum. Przy dwójce dzieci brakowało jej czasu i energii na pisanie. Archie zaczął uczyć w szkole na pół etatu.

Na wakacje jeździli do Home Place, a Boże Narodzenia kilka razy spędzili u Polly. Clary była niegospodarna, więc ciągle brakowało im pieniędzy i zalegali z rachunkami. Gdy dzieci poszły do szkoły podstawowej, podjęła pracę korektorki na pół etatu; pracowała głównie w domu. Pani Tonbridge uprzejmie nauczyła ją przyrządzać hash z tylko jednej puszki peklowanej wołowiny, kalafiory z serem i zrazy z minimalną ilością bekonu. Clary kupiła książkę Elizabeth David o kuchni francuskiej. Nieznany aż do czasów powojennych czosnek z pewnością poprawił sytuację. Czosnek i powrót bananów, które Harriet i Bertie uważali za odpowiednik lodów, wzbogaciły jadłospis. Prawdziwym problemem były ceny. Łopatka jagnięca kosztowała trzynaście szylingów i wystarczała zaledwie na dwa posiłki, ze skąpymi resztkami do zmielenia.

Clary zarabiała trzy funty tygodniowo, a zarobki Archiego były niepewne – tygodniami mógł nie dostawać ani pensa, a potem wpadała mu okrągła suma. Wtedy opłacali opiekunkę do dzieci i wychodzili wieczorem do kina i do Blue Windmill, taniej cypryjskiej restauracji, gdzie można było zjeść kotlety jagnięce i dolmades, a także napić się pysznej kawy. Wracali autobusem linii 59, Clary z głową na ramieniu Archiego. Często zasypiała – wiedział, bo jej głowa i jego ramię stawały się zauważalnie cięższe. Powinniśmy szarpnąć się na taksówkę, myślał często podczas dość długiego spaceru do domu.

W domu zastawali panią Sturgis śpiącą nad robótką. Archie płacił opiekunce, a Clary szła zajrzeć do dzieci w małym pokoju. Bertie spał wciśnięty między czternaście wełnianych zwierzątek

po obu stronach łóżeczka, z łapką jednego – ulubionej małpki – w buzi. Harriet leżała płasko na plecach. Warkocze miała rozpuszczone i wszystkie włosy zebrane na czubku głowy – dla ochłody, jak kiedyś wyjaśniła. Kiedy Clary ją całowała, na twarzy dziewczynki pojawiał się delikatny, sekretny uśmiech, zanim znów pogrążała się w surowym spokoju snu. Jej kochane, piękne dzieci…

Ale to były rzadkie dni. Te zwyczajne kończyły się zwykle zamętem związanym z kolacją i kąpielą dzieci.

Niekiedy Archie szykował kolację, gdy Clary robiła korektę. Od czasu do czasu na kolację przychodził jej ojciec, Rupert, z Zoë i przynosili smakołyki: wędzonego łososia i czekoladki Bendicks Bittermints. Rupert i Archie przyjaźnili się od studiów w Slade – na długo przed wojną – a wyraźna wrogość Clary wobec ślicznej macochy przerodziła się w przyjaźń. Ich synowie, Georgie i Bertie, mieli teraz po siedem lat i mimo odmiennych zainteresowań – menażerii Georgiego i muzeum Bertiego – miło spędzali razem święta w Home Place. Jakim błogosławieństwem był ten dom, z Duszką i Rachel zawsze cieszącymi się na ich widok!

Tak więc tamtego ranka, gdy Archie poszedł malować bogacza od sardynek, Clary przeżyła szok, bo Zoë zatelefonowała z wiadomością o śmierci Duszki. Wszyscy w rodzinie wiedzieli, że Duszka jest chora, ale gdy dzwonili, niezmiennie słyszeli stanowcze odpowiedzi Rachel: „Ma się dobrze", „Myślę, że wraca do zdrowia" i inne w tym stylu. Jak powiedziała Zoë, Rupert wyjaśnił jej, że Rachel nie chciała ich martwić.

Tak, pomyślała Clary, to do niej podobne. Dziwne, że czasami, kiedy ludzie nie chcą się wzajemnie martwić, przysparzają sobie nawzajem jeszcze większych zmartwień. Biedna Rachel! Jej los smucił ją bardziej niż śmierć babci, która miała długie, spokojne życie i zmarła we własnym domu, z córką u boku. A może po prostu jest mi smutno, bo Duszka była tam przez całe moje życie i teraz będzie mi jej brakować, pomyślała Clary, usiadła przy kuchennym stole i rozpłakała się cicho.

Potem zadzwoniła do Polly.

– Już wiem – powiedziała kuzynka. – Wujek Rupert poinformował Geralda.

– Wiesz, kiedy będzie pogrzeb?

– Myślę, że w weekend. – Polly wydawała się lekko zszokowana.

– Rozumiem, że to zabrzmi okropnie, ale ja i Archie planowaliśmy wyjazd do Francji. Oczywiście nie pojedziemy, jeśli w tym czasie wypadnie pogrzeb. Zastanawiałam się tylko… – Clary umilkła.

– Będziecie mogli jechać później, prawda? Przepraszam, ale muszę kończyć. Andrew wariuje. To jeden z tych jego dni, kiedy nie chce się ubrać. Gerald zawiózł dziewczynki do szkoły, a potem jedzie z Nan do dentysty na wyrwanie zęba. Do zobaczenia wkrótce. – Polly się rozłączyła.

Clary siedziała, patrząc na telefon. Chciała powiadomić Archiego, ale nie cierpiał, gdy mu przeszkadzano podczas pracy z modelem. Przytłoczyło ją poczucie winy. Zmarła bliska jej osoba, ktoś, kogo kochała, a ona martwi się tylko o wakacje i skutki finansowe. Archie będzie musiał zapłacić za wynajem przyczepy i możliwe, że także za bilety na prom. Prawie na pewno nie będzie ich stać na powtórny taki wydatek. I skończą się wyjazdy do Home Place. Nie wyobrażała sobie, że ciocia Rachel zechce mieszkać tam sama…

Myślenie o pieniądzach w takiej chwili wydawało się niestosowne i świadczyło o chciwości. Kiedyś w ogóle o nich nie myślała, a teraz miała wrażenie, że robi to bez przerwy. Oczy zaszły jej łzami i znów się rozpłakała, tym razem nad swoim podłym charakterem.

Porządkując ubrania dzieci, odkryła, że w tenisówkach Bertiego są dziury wydarte przez palce, co oznaczało konieczność kupienia mu nowych, większych, a więc droższych. Buty kosztują. Wszystko kosztuje. Clary wydmuchała nos i postanowiła zrobić dzieciom na podwieczorek kotlety rybne. Według przepisu powinna użyć łososia z puszki, ale miała tylko sardynki. Jeśli

doda do nich sporo purée ziemniaczanego, odrobinę ketchupu i jajko, żeby masa się związała, powinny wyjść cztery całkiem spore kotlety rybne. Zadzwoni do męża tuż po pierwszej, kiedy jego gruby klient pójdzie na lunch.

Myśl o rozmowie z Archiem nagle podniosła ją na duchu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**. Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- Virtualo
- Publio
- Nexto

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.
Szukajcie ich na portalu Audioteka lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na Facebooku i na Instagramie.